

Nienawiść na co dzień i od święta

Wizje rajów są dość powszechne i przewidywalne. Szczęśliwi ludzie spędzają ze sobą czas jedząc owoce, głaszcząc zwierzęta. Młodzi, uśmiechnięci, na łonie natury. Łono przypomina rozległą zieloną łąkę poprzetykaną pojedynczymi drzewami, oczkami wodnymi. W oddali rzeka, na horyzoncie ośnieżone szczyty gór. Ładna pogoda. Idealna sawanna, człowieczy habitat. Na zasadzie czystej analogii, raj kotów to nieskończony trójwymiarowy labirynt z myszką za każdym rogiem. Niebo psów to nieskończony spacer z panem, z soczystą kością w pysku itd. Rajy wpisane są w naturę każdego z gatunków. W rajach nie ma miejsca na wojnę. Jest spokój, a dokładniej – pokój. Choć droga do rajy islamskich terrorystów np. wiedzie przez wojnę. A może jednak? Czy możliwy do pomyślenia jest raj z jakąś wojenką co pewien czas? Ludobójstwem o ograniczonym zasięgu, w formie rozrywki? Ponura wizja? Bynajmniej. Przecież coś bardzo podobnego funkcjonuje od stuleci w chrześcijańskiej (i nie tylko) umysłowości w formie piekła. Niegodziwcy mają tam „za swoje” a prawe dusze nawet nie brudzą sobie tym plugawym obowiązkiem uświęconych dłoni. Pełna higiena, ideał inżynierii społecznej, do którego dążymy od dawna, i którego kolejne epizody przytrafiają się co kilka dekad. W naszą naturę, zupełnie tak jak rajy, wpisana jest bowiem nienawiść. Co gorsza, dożyliśmy czasów, gdy – pomimo rozlicznych regulacji i uprawianych oficjalnych narracji – nienawiść jest dużo łatwiejsza niż kiedyś. Może nawet najłatwiejsza w dziejach. Z kilku powodów.

Lata temu, poszukując korzeni agresji, uczeni trwale odizolowali małego szczura. Nie miał on kontaktu z matką czy rodzeństwem. Przebywał zupełnie sam, dostarczano mu oczywiście wodę i pożywienie. Opieka nad nim przebiegała bezproblemowo. Po pewnym czasie, gdy gryzoń podrosł, zainicjowano kontakt z towarzyszami gatunku. Oczywiście w krótkim czasie doszło do bójki. Wychowywany w samotności szczur cechował się znaczną agresją w stosunku do innych członków stada, wykazywał daleko posunięty terytorializm. To oczywiście metafora, trudno ekstrapolować wyniki tychże obserwacji na ludzi. Jedyne, co możemy stwierdzić, to że agresja (jak i sposoby jej wyrażania) jest do pewnego stopnia warunkowana genetycznie. Ludzie nie wychowują się w samotności **(choć nie do końca, ale do tego problemu jeszcze wrócimy)**.

Po drugie, terytorializm w ludziach był i jest obecny, w bardzo różnych wymiarach, czy to społecznym (grupy muszą mieć swoją granicę i przestrzeń do zajmowania) czy indywidualnym (lubimy mieć rzeczy nasze, na wyłączność, całkowita wspólność jest dla nas nie do pomyślenia). Przeładowanie urbanistyczne to termin, z pomocą którego psychologia społeczna usiłuje wyjaśnić ludzkie zachowania (lub zaniechania) wywołane obecnością innych, również na terytorium uznawanym za „nasze”. Prosty eksperyment myślowy pomaga zrozumieć ten mechanizm. W jakim miejscu, Czytelniku, wolałbyś mieć krakę na rowerze: na wielkomiejskim osiedlu czy może w niewielkim miasteczku? Większość ludzi wybiera wariant drugi – i słusznie. Okazuje się bowiem, że w mniejszych skupiskach ludzie są sobie dużo życzliwsi. Bliska i częsta obecność innych nie działa na nas najlepiej. Wcale nie sprzyja wykształcaniu nowych relacji, nie trenuje również w podtrzymywaniu tych istniejących. Wzbudza raczej obojętność, a w dalszej konsekwencji, może stać się podatnym gruntem dla wzrastania uczucia agresji i nienawiści.

Z nienawiścią jednak Zachód stara się jednak sobie radzić, stosując szeroko rozumianą filozofię wzrastania. W interesujący sposób te drogi myślenia opisał Herald Welzer. W książce „Samodzielne myślenie” punktował on współczesną post-kapitalistyczną metanarrację skupioną wokół zagadnień szerokokopętego rozwoju. Zdaniem Welzera odpowiedzią na wiele problemów ma być rozwój, jednak w wielu przypadkach może być to po prostu ślepy zaułek. Podaje on przykład kilkuletniego dziecka, które postawione przed problemem głodu odpowiedziało z właściwą sobie naiwnością: „czy nie można po prostu zmniejszyć ludzi? Wtedy jedzenia starczyłoby dla wszystkich”. Taka droga myślenia wymyka się standardowym strategiom, jednak uświadamia nam prostą zależność: jesteśmy więźniami ideologii rozwoju, niewielu dochodzi do wniosku, że może należałoby poprzestać na mniejszym, aniżeli gonić do śmierci za czymś większym. Łudzimy się, że odpowiedzią na każdy problem (nasz i innych) będzie większa wydajność, bardziej intensywna ekspansja, eksploatacja. Oczywiście jest to tylko ułuda. Ekspansja dokonała się (chyba że mówimy o tej kosmicznej). Wydajność jest ogromna. Obecnie ma natomiast miejsce łupiestwo rozszerzone, w wymiarze nie przestrzennym a czasowym, zaciągane na kredyt naszych dzieci i wnuków. Pod względem demograficznym trend jest równie niekorzystny: do miasta. W miastach będzie coraz ciasniej i problem urbanistycznego przeładowania (a więc uwiędu i rozpadu więzi) będzie narastał. Kultura stara się konstruować wszelkiego rodzaju narzędzia do radzenia sobie z tymi niebezpiecznymi zjawiskami. Wymyśla nam ideologie, szerzy dyskursy o tolerancji i multikulturalizmie, promuje społeczne kompetencje. Wszystko w imię wspólnego życia w harmonii, wszystko w imię wzrastania i zrównoważonego rozwoju. Tyle, że nie uwzględnia podstawowej zmiennej, zmiennej tak nieubłaganej, że chciałoby się wejść tutaj w dyskurs nie tyle kulturowy co... socjofizyczny.

A fakty są takie, że „społeczne ciśnienie” jest za duże. Gdy siła rośnie, w końcu znajdzie ujście i rozsądzi naczynie, choćby nie wiem, jak bardzo starała się uwierzyć, że tego nie chce. Ludzie – bądź co bądź również byty fizyczne, no, biofizyczne – także poddają się tym brutalnym zasadom. Skutkiem czego przy obecnym trendzie należy liczyć się ze wzrotem wzajemnej agresji i nienawiści jako czymś nieubłaganym, czymś nie do zatrzymania.

Nie jestem przekonany, czy liczymy się z taką właśnie ewentualnością: lepiej już było, a nienawiść i jej złagodzona forma, pogarda, tylko czekają, by odnajdywać nowe, gotowe do zagospodarowania nisze. Społeczeństwo, gdy gardzi, uwielbia bawić się kukłami. Cyrk Trumanillo z obrazu Wajdy, archetyp chciwego Żyda, Wałęsa, Tusk – wszystkie tak samo łatwopalne. I takie właśnie spiętrzone i wzgardliwe społeczeństwo z lubością nienawidzi, tworząc kolejne anty-fetysze, nawet jeśli wywodzić się one mają z naszego środowiska.

Nie trzeba daleko szukać. Przykładem jest e-kukła, Janusz, mała z nosem w kształcie ogórka. Oczywiście nikt nic nie ma do poczciwego nosacza sundajskiego, to jedynie symboliczne przedstawienie Polaka-szaraka i całego kontekstu, który za nim stoi.

Janusz nosi poźółkłego od fajek wása, trunek wysokoprocentowy uważa za lekarstwo na wszystko, zbiera świeżaki z Biedronki (a naklejki traktuje jak twardą walutę), na plaży ogradza się murem z parawanów, żyje w przeświadczeniu, że wszystko co amerykańskie jest lepsze (z wyjątkiem aut, te tylko z Niemiec), w każdą niedzielę je rosół, zagryzając kotлетem schabowym i oglądają „Familiadę”, popołudniami czeka na „Trudne sprawy”, inne kultury postrzega jako egzotykę, a kiedy latem robi się trochę chłodniej, nakłada skarpetki do sandałów. Oto polskie antidotum na polskie frustracje.

Jeszcze kilka lat temu można by pomyśleć, że Janusz to zwykłe imię, które nosi czyjś ojciec, dziadek czy wujek. Ale nie dziś. W dzisiejszym świecie Januszem jest w zasadzie każdy otyły i w średnim wieku mężczyzna, którego cechy określają jego małomiasteczkowość i przekonanie o własnej nieomyślności. Janusz ma rodzinę, dalsze ucieleśnienie prostactwa i prymitywizmu. Żona Grażyna, syn Seba (ew. Pioter) oraz jego dziewczyna Karyna stali się archetypem Polaków, przedstawianych w internetowych memach, którzy nie do końca potrafią odnaleźć się w systemowo przekształconej rzeczywistości, pozostając wierni swojej prekapitalistycznej kulturze wegetacji. Sławni, ale głęboko zakorzenieni w minionych czasach, ich dzieci z kolei to twór nowej rzeczywistości, której nadal nie potrafią stać się częścią.

I nagle nosacz sundajski doczekał się bogatego zestawu dodatkowych symboli i znaczeń. Małpa reprezentuje część (w domyśle znaczną) polskiego społeczeństwa. Sympatyczna autoironia? Brzmi dość paradoksalnie, bo chyba jeszcze nigdy wzajemna pogarda nie była tak oficjalna i oczywista. Przejdźmy jednak póki co do przedstawienia prawdziwej, polskiej rodziny symbolizowanej przez stado ssaków z nosami w kształcie ogórka.

W świecie stereotypowego Janusza liczy się „Passat kombi w TDI”, kompot do niedzielnego obiadu i dobre piwo, ewentualnie kubek gorącej „kapuczyny”, a insygnia jego władzy, to przede wszystkim pilot od telewizora. Zazwyczaj społeczeństwo rozpoznaje typowego Janusza po wysokich skarpetach nałożonych do sandałów oraz mocno zaciśniętej dłoni na reklamówce z dyskontu.

Towarzyszką życia Janusza jest Grażyna. Żona rdzennego Polaka, kobieta, która szczególnie lubuje się w zakupach, a swój wolny czas poświęca na plotki podczas codziennego wyczekiwania w kolejce do warzywniaka. Grażyna żyje chwilą, nie myśląc o swojej przyszłości, bardziej martwi ją kolejny dzień, z którym musi zmagać się jej ulubiony bohater serialu - „M jak Miłość” czy „Klan”.

Seba i Karyna – nosacze-juniorzy. Pierwszy jest owocem miłości Janusza i Grażyny. Zwykły, zazwyczaj ogolony na łyso chłopak, który często uchodzi za osiedlowego cwaniaka. To obraz typowego podwórkowego „dresa”, wychowanego na grze w „gałę”. Oprócz problemów z sąsiadami, Seba ma także problemy z ortografią. Jego dziewczyna, Karyna, również nie grzeszy inteligencją, ale to nie jest istotne, bo przecież najbardziej liczą się uczucia. Jedyne wzorce, jakie para czerpie z Zachodu, to imiona dla swoich dzieci – Brajanek i Dżesika.

Po nawet pobieżnej analizie memów z udziałem Janusza i jego rodziny jasnym jest, że internet pogardza w tym przekazie każdym detalem: od składni i braku stylu aż po zazdrosne spojrzenie, okrągłe brzuchy i bokobrody, gderliwość, radość z cudzego nieszczęścia, gotowość do kłótni o każdą złotówkę.

To oczywiście nie jedyny polski podgatunek będący przedmiotem zintensyfikowanego hejtu. Inna grupa, równie mocno, jeśli nie mocniej piętnowana, to choćby weganie. Dochowali się oni wyjątkowo przejaskrawionego stereotypu stanowiącego jedyny w swoim rodzaju koktajl lewicowych skojarzeń, lenistwa, pychy i higienicznego zapuszczenia. Typowa e-wersja weganina to, nie przymierzając, brudas w dreadach, który wszystkich na około terroryzuje swoją wizją świata i bez pardonu zagląda innym do talerza, nie bez moralizatorskiego zadęcia. Internet poniekąd broni się przed tym wegeterroryzmem, w znacznej mierze oczywiście wyimaginowanym, robi to jednak w sposób wyjątkowo brutalny, prowokacyjny. Anty-weganie lubują się na przykład w generowaniu memów często drastycznych w wymowie, specjalizują się w uprzedmiotawianiu zwierząt, które w przedstawianych treściach są po prostu

zrównywane z jedzeniem. Aby przekaz uczynić tym brutalniejszym, przedstawiane są zdjęcia prosiąt i cieląt, których niewinny wygląd ma stanowić tym większy kontrast z perspektywą rychłej zamiany w bekon czy stek.

O ile trudno nie przyznać racji wielbicielom mięsa, że mają prawo jeść to, co im się podoba, o tyle argumenty i środki, po które sięgają stają się niczym innym aniżeli formą symbolicznej przemocy. Tym bardziej, że trudno jest wskazać na analogiczne prowokacje ze strony wegan. W podobny sposób zresztą stygmatyzowane są środowiska feministyczne, których przedstawiciele (najczęściej jednak przedstawicielki) to jednostki pozbawione najmniejszej dozy logiki, życiowo sfrustrowane, samotne, mocno skrzywdzone, brzydkie.

Można tę sprawę bagatelizować jako w praktyce niegroźną. Jeśli jednak przyjąć, że coraz młodsze pokolenia czerpią wiedzę niemal wyłącznie z Internetu i mają znaczne problemy z weryfikacją informacji, kwestia może być znacznie poważniejsza niż sądzimy. Trudno sobie wyobrazić obraz świata wylepiony od podłogi po sufit nieweryfikowalnymi treściami memów.

Takich ognisk hejtu jest oczywiście całe mnóstwo. Problem w tym, że nienawiść i pogarda są daleko bardziej intuicyjnymi i łatwymi uczuciami, które dziś, w dobie wielkich odległości, wielkich skupisk ludzkich, anonimowości, są tym prostsze. Agresja jest zupełnie naturalną emocją kierowaną przeciwko rywalom, w szerokim rozumieniu tego słowa. Rywale mogli pochodzić z własnej grupy (np. pretendenci do władzy, konkurenci reprodukcyjni), bądź też spoza naszego plemienia (rywale w walce o zasoby). Agresję można jednak stosunkowo łatwo przezwyciężyć. Okazuje się bowiem, że świetne rezultaty może przynieść lepsze zapoznanie się z „wrogiem”. Okazuje się, że częstsze okazje do kontaktu mogą przyczynić się do wyciszenia agresywnych zapędów. Znane są przecież historie z I-szej wojny światowej, gdy żołnierze wrogich armii, przesiadujący długo w okopach i czekający na rozkazy, potrafili się zakolegować, częstować papierosami, by za jakiś czas powrócić na swoje pozycje, wczłgać się za barykady i otworzyć ogień do wroga.

Dziś jednak sytuacja, w którym następuje chwilowe zawieszenie broni i oczekiwanie na dalsze wytyczne jest coraz rzadsza. Walka toczona jest na wielu frontach, nieprzerwanie, zasoby z kolei nadal są ograniczone, a dokładniej – nieustannie poddawani jesteśmy narracji, za sprawą której mamy wierzyć, że są ograniczone. Ponieważ hiperkapitalistyczna machina musi się nieustannie kręcić i przynosić zysk, społeczeństwo masowe wystawiane jest na działanie dyskursu o potrzebach, które musi zaspokajać. Oczywiście potrzeby te są nieustannie kreowane, karuzela konsumpcji nie może się zatrzymać, w przeciwnym razie producenci przestaną zarabiać. A póki co, skoro już uwierzyliśmy w ograniczoną ilość dóbr i realizm wykreowanych potrzeb, trwa w najlepsze nieustanny wyścig o status, w którym pozostali traktowani są jak wrogowie. Meadowska „jaźń odzwierciedlona”, wiedza na temat nas samych czerpana z interakcji z innymi ludźmi, w świecie mediów społecznościowych staje się „hiperjaźnią”, pseudo-wiedzą złożoną ze społecznych porównań, które spędzają sen z powiek i wpędzają w kompleksy.

Co znamienne zwłaszcza w kontekście dyskusji o powszechności hejtu, przekaz popkulturowy zdaje się hołdować domorosłej psychoterapii, sięgającej korzeniami do hydraulicznej teorii mocno eksploatowanej jeszcze przez Freuda. Ta mówi, że najlepszym sposobem na radzenie sobie z agresją jest... skonfrontowanie się, wyładowanie. Bohaterowie różnorodnych dzieł masowych nakłaniani są przez innych i

przez okoliczności, aby się stosownie „rozładować”, wywrzeszczyć, poniszczyć to i owo, natłuc talerzy, przyłożyć kijem manekinowi. Ma to naszego bohatera otworzyć, oczyścić, jak zbawienny biblijny ogień. Przekaz ten zdaje się zresztą trafiać do mas, które święcie wierzą, że napięcia dnia można rozładować na przykład na siłowni, waląc co sił w worek treningowy czy wyciskając kolejne kilogramy na sztandze. Wierzymy, że negatywnym emocjom należy ulżyć w sposób, do którego nas pośrednio nakłaniają – agresywnie, z wrzaskiem, z przytupem. Nic bardziej mylnego. Badania sugerują bowiem, że takie hydrauliczne podejście do wewnętrznych konfliktów i napięć przynosi co prawda ulgę, jednak krótkotrwałą. Agresja, która ulega wyładowaniu, po jakimś czasie powraca.

Odtrutką na te działania wydaje się być empatia, jednak jest to umiejętność spychana dziś do defensywy. Empatia zaczyna być kojarzona nie z siłą umysłu, ale raczej ze słabością jednostki. Jednostki empatyczne, wrażliwe, zastanawiają się, mają wątpliwości, stronią od czarnobiałych osądów, są łatwym celem, wystawiają się na coś. Gdzie dwóch się bije, empatyczny trzeci nie korzysta, on współczuje, stara się zrozumieć.

Empatia powinna być jednak rozumiana w tym miejscu szerzej, również jako auto-empatia, czy jak nazywają ją niektórzy psychologowie, psycho-wzroczność. Często nie uświadomiamy sobie źródła własnych emocji, nie rozumiemy dlaczego się śpieszymy, nie rozumiemy w pełni natury swojego stresu, nie potrafimy pojąć korzeni swoich pragnień. Chwila refleksji może mieć w tym przypadku iście zbawienne skutki. Raptem może okazać się, że nasz pośpiech jest nieuzasadniony, obawy wyolbrzymione, stres – niepotrzebny. Taki trening pomaga również nieco lepiej rozumieć innych ludzi, ich przyzwyczajenia, motywy, oczekiwania. Nawet w stosunku do osobistych wrogów usiłowanie zrozumienia ich motywów działania może zagwarantować nam większy spokój, wówczas bowiem łatwiej możemy uświadomić sobie, że nie ma ludzi złych do szpiku kości, że każdy usiłuje coś osiągnąć, choć niekiedy poprzez strategie sprzeczne z naszymi. Łatwiej też możemy pojąć, że inni działają w sposób krzywdzący i wrogi często również dlatego, że sami są więźniami emocji, nad którymi nie panują i których nie rozumieją.

Przewycięzenie tych masowych skłonności do pogardy, czy to za sprawą empatii, psychowzroczności czy jeszcze innych technik, jest o tyle trudniejsze, że powoli zanikają możliwości dialogu. Przestajemy postrzegać siebie i rozumieć nawzajem w kategoriach wspólnej spuścizny. Wspomniany wcześniej Welzer opowiedział kiedyś studentom anegdotę o dwójce starszków, którzy wybrali się do Ikei, by kupić szafę. W końcu, oglądając każdy szczegół, dokonują wyboru i mówią: „to dobra szafa, posłuży jeszcze naszemu wnuczkowi”. Studentów ogarnia śmiech, sprawa nie jest jednak tak błaha, jak mogłoby się wydawać. Studenci pytani na zajęciach, czy ktokolwiek myśli w kategoriach dziedzictwa, czegoś, co po nich zostanie, na ogół milczą. Czy ktokolwiek zastanawiał się w taki sposób o meblu, o książkach, czy choćby o biżuterii. Okazuje się, że takich rozważań praktycznie nie ma, dominują strategie chwilowe, nastawione na całkowitą eksploatację, tymczasową funkcjonalność. Pośrednio świadczy to jednak o braku potrzeb kontaktu międzypokoleniowego, o chęci nauczenia się czegoś o tych, którzy odchodzą i przekazania czegoś tym, którzy przyjdą po nas. Ekonomia przeszła już dawno ze świata przedmiotów do świata usług. Tłumaczy się to wygodą, bo przecież nie ma sensu przywiązywać się do przedmiotu, skoro co chwila rynek wypłuka kolejne, coraz nowsze mutacje wszystkiego, co tylko można wyprodukować. Jednak zapominamy o tym, że to właśnie przedmiot jest nośnikiem znaczenia, to on może być obciążony współczynnikiem humanistycznym, sensem, którym możemy podzielić się z innymi.

Niedawna książka, która takim potrzebom wychodzi poniekąd naprzeciw to „Etnogadki” Moniki Michaluk. To zaproszenie do międzypokoleniowego dialogu, dla którego tworzywem ma być tradycja ludowa, bogactwo staropolskich obrzędów, które niegdyś organizowały ludziom całoroczną aktywność. „Etnogadki” to zachęta do aktywnego przeżywania każdych świąt, do zaangażowanego przechodzenia z jednej pory roku w kolejną, do poznawania przeróżnych zwyczajów. Dzięki to zorganizowane jest jednak w taki sposób, by owo zaangażowanie wychodziło ze strony kilku pokoleń. Książka tylko z pozoru przeznaczona jest dla dzieci, odbiorca nie ma bowiem konkretnego wieku. Układ „gadek” zachęca do dzielenia się swoim doświadczeniem, bez względu na metrykę i pozwala mieć nadzieję, że ci, którzy z książką się zetkną, za jakiś czas będą wspominać swoje dzieciństwo jako pełniejsze, bardziej znaczące, wysyczone kontaktem z innymi ludźmi, a nie tylko z aplikacjami. Bardzo możliwe, że bez takiego myślenia o innych ludziach, jako o powiernikach doświadczeń, nosicielach biografii, nie nauczymy się myśleć o nich inaczej, aniżeli w kategoriach „obcy”, czy „rywal”. Jest w tym jakaś ponura prawidłowość. Przed upadkiem Muru Berlińskiego propaganda zmuszała narody do myślenia o innych w kategoriach „swój-obcy”. Dziś już takiej propagandy nie ma (przynajmniej oficjalnie), a jednak sami z lubością poddajemy się agresywnemu warunkowaniu, którym internet aż kipi.

Mówi się sporo na temat tego, że Europa przeżywa właśnie najdłuższy pokój w historii. Z drugiej jednak strony społeczne napięcia każą przypuszczać, że kwestią czasu jest, gdy owa delikatna równowaga przejdzie do historii. Nadmiar ludzi staje się powoli treścią masowej wyobraźni. Hollywoodzkie produkcje, które pobiły kolejne rekordy popularności, oparte na komiksach Marvela co najmniej dwa razy otwarci poruszyły temat „oczyszczającej zagłady” (mowa o „X-Men: Apocalypse” i „Infinity War”). W jednej z nich mowa jest nawet o losowej dezintegracji nadmiarowych osobników. Bohaterscy herosi oczywiście robią co mogą, by ten niebezpieczny trend zatrzymać, jednak przekaz jest wcale sugestywny: zbliżamy się do punktu wrzenia i albo sami coś z tym zrobimy, albo za chwilę uruchomią się procesy, nad którymi już nie zapanujemy.